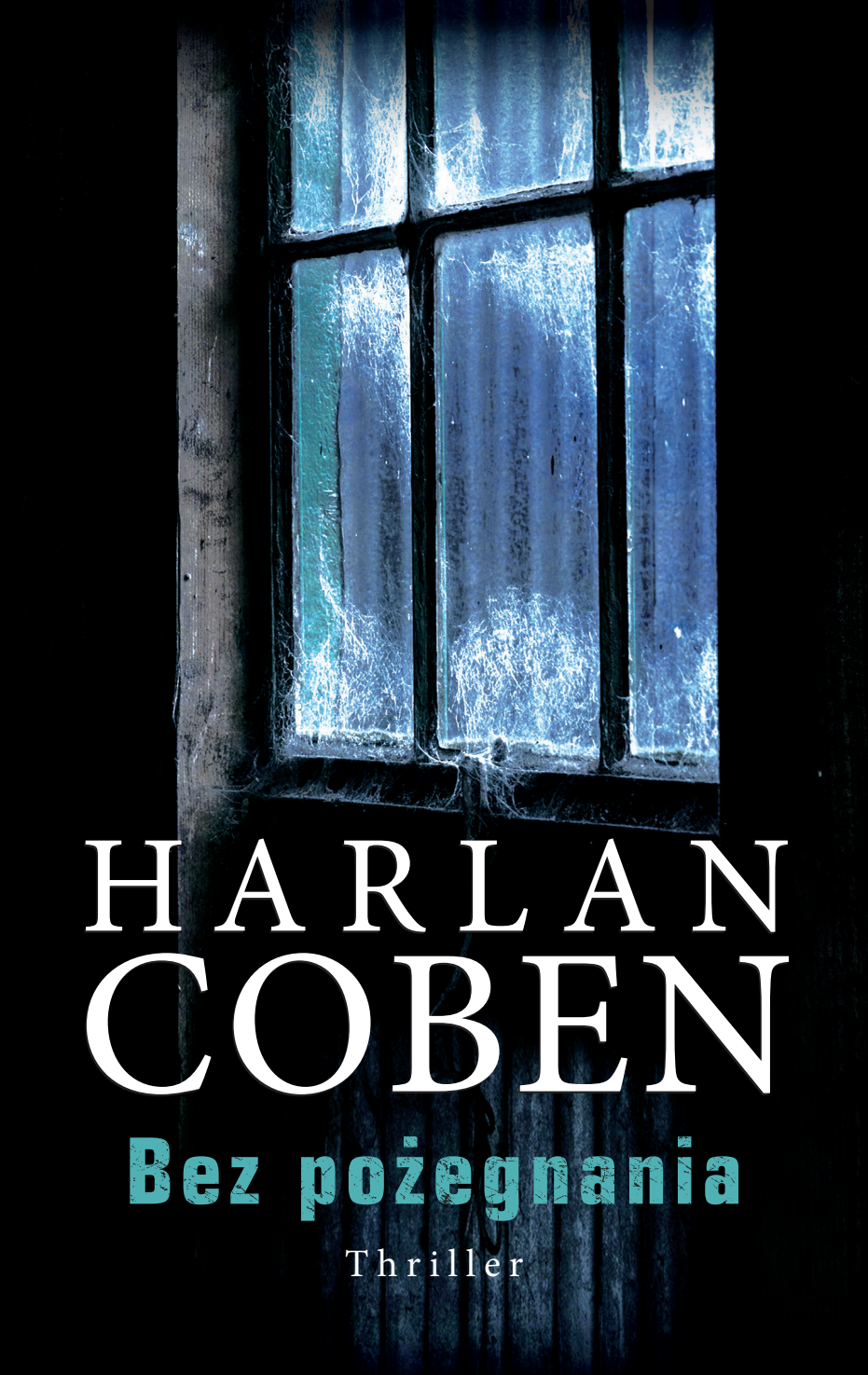




HARLAN COBEN

Bez pożegnania

Thriller

1

Trzy dni przed śmiercią matka wyznała – to były niemal jej ostatnie słowa – że mój brat wciąż żyje.

Tylko tyle. Nie rozwodziła się i powiedziała to raz. Mówienie przychodziło jej z trudem. Morfina wywarła decydujący, zabójczy wpływ na pracę serca. Skóra matki przybrała tę charakterystyczną barwę chorego na żółtaczkę lub blaknącej letniej opalenizny. Oczy zapadły jej w głąb czaszki. Prawie cały czas spała. Później już tylko na moment odzyskała przytomność – jeśli naprawdę ją odzyskała, w co bardzo wątpię. Wykorzystałem tę chwilę, by powiedzieć jej, że była wspaniałą matką, że bardzo ją kochałem, i się pożegnać. Nie rozmawialiśmy o moim bracie. Co wcale nie oznacza, że nie myśleliśmy o nim, jakby on też siedział przy łóżku.

– On żyje.

Dokładnie tak brzmiały jej słowa. Jeśli była to prawda, sam nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle.

■ ■ ■

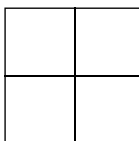
Pochowaliśmy ją cztery dni później.

Wróciliśmy do domu, żeby zasiąść w ponurym milczeniu. Ojciec przemaszerował przez zagracony salon z twarzą czerwoną z gniewu. Moja siostra Melissa przyleciała z Seattle ze

swoim mężem Ralphem. Ciotka Selma i wuj Murray krążyli po pokoju. Sheila, moja ukochana, siedziała przy mnie i trzymała mnie za rękę.

Oto prawie cała lista żałobników.

Przysłano tylko jedną wiązankę kwiatów, za to ogromną. Sheila uśmiechnęła się i uściśnęła moją dłoń, kiedy zobaczyła dołączoną karteczkę. Nie było na niej ani słowa, tylko ten rysunek:



Ojciec spoglądał przez wykuszowe okna – te same, które w ciągu minionych jedenastu lat dwukrotnie powybijano strzałami z wiatrówki – i wymamrotał pod nosem:

– Sukinsyny.

Odwrócił się i przypomniał sobie następnych, którzy nie uczestniczyli w pogrzebie.

– Rany boskie, można by sądzić, że Bergmanowie powinni się pokazać.

Zamknął oczy i odwrócił głowę. Znowu wstrząsał nim gniew, łącząc się z żalem w coś, czemu nie miałem siły stawiać czoła.

Jeszcze jedna z wielu zrad, jakie popełnili w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Potrzebowałem powietrza.

Wstałem. Sheila spojrzała na mnie z troską.

– Przejdę się – powiedziałem cicho.

– Potrzebujesz towarzystwa?

– Nie sądzę.

Sheila skinęła głową. Byliśmy ze sobą prawie rok. Nigdy nie miałem partnerki, która tak wyrozumiale traktowała zmienne nastroje, jakim ulegałem. Znow lekko uściśnęła moją dłoń, dając znać, że mnie kocha. Zrobiło mi się lżej na sercu.

Chodnik przed frontowymi drzwiami imitował ostrą trawę i z plastikową stokrotką w lewym rogu wyglądał jak ukradziony z placu do minigolfa. Przeszedłem po nim i powędrowałem Downing Place. Po obu stronach ulicy ciągnęły się otepiająco monotonne piętrowe domki pokryte aluminiowym sidingiem, rodem z lat sześćdziesiątych. Nadal miałem na sobie szary garnitur. Swędziało mnie całe ciało. Słońce wściekle prażyło i z zakamarków umysłu wypłynęła perwersyjna myśl, że to piękna pogoda, sprzyjająca rozkładowi. Stał mi przed oczami obraz matki, z tym rozświetlającym świat uśmiechem, który pojawiał się na jej twarzy, zanim to wszystko się zdarzyło. Odsunąłem od siebie to wspomnienie.

Wiedziałem, dokąd zmierzam, chociaż wątpię, czy przyznałbym się do tego nawet sam przed sobą. Ciągnęło mnie tam. Niektórzy nazwaliby to masochizmem. Inni zauważyliby, że było to związane z zamknięciem pewnego okresu w życiu. Moim zdaniem ani jedni, ani drudzy nie mieli racji.

Po prostu chciałem spojrzeć na miejsce, gdzie wszystko się skończyło.

Zewsząd atakowały mnie obrazy i dźwięki przedmieścia. Dzieciaki z piskiem przejeżdżały na rowerach. Pan Cirino, który był właścicielem salonu forda mercury przy autostradzie numer dziesięć, strzygł trawnik przed domem. Steinowie – którzy stworzyli sieć sklepów z artykułami gospodarstwa domowego, później wchłoniętą przez większe konsorcjum – spacerowali, trzymając się za ręce. Na podwórku Levine'ów kilku chłopców grało w piłkę. Nie znałem żadnego z nich. Zza domu Kaufmanów unosił się dym grilla.

Minąłem dawny dom Glassmanów. Mark Tępak Glassman przeleciał przez rozsuwane szklane drzwi, kiedy miał sześć lat. Bawił się w Supermana. Pamiętałem te krzyki i krew. Założyli mu ponad czterdzieści szwów. Tępak wyrósł i został multimiliarderem. Nie sądzę, żeby nadal nazywano go Tępakiem, ale kto wie...

Na zakręcie stał dom Mariano, wciąż w tym ohydny

żółtym kolorze flegmy, z plastikowym jeleniem strzegącym podjazdu. Angela Mariano, nasza lokalna niegrzeczna dziewczynka, była o dwa lata starsza od nas i zdawała się należeć do innego, budzącego podziw gatunku. Obserwując Angełę, która w negującym istnienie grawitacji, kusym topie opalała się na podwórzu na tyłach domu, poczułem pierwsze niepokojące objawy szaleństwa hormonów. Dosłownie ślinka ciekła mi z ust. Angela wiecznie kłóciła się z rodzicami i ukradkiem paliła papierosy w szopie za domem. Jej chłopak miał motocykl. W zeszłym roku spotkałem ją w centrum miasta, na Madison Avenue. Myślałem, że będzie wyglądała okropnie – ponieważ zawsze mi mówiono, że tak się dzieje z przedwcześnie dojrzewającymi dziewczętami – ale Angela trzymała się świetnie i wydawała się szczęśliwa.

Zraszcz wykonywał powolny obrót przed domem Erica Frankela przy Downing Place 23. Kiedy obaj byliśmy w siódmej klasie, Eric z okazji bar micwy urządził „kosmiczny” wieczorek w sali Chanticleer, w Short Hills. Sufit imitował planetarium – czarne niebo z konstelacjami gwiazd. Na moim zaproszeniu napisano, że mam zasiąść przy „stole Apollo 14”. Na środku sali stała wierna kopia rakiety na zielonym polu startowym. Kelnerzy, odziani w skafandry kosmiczne, udawali załogę Mercury’ego 7. Nasz stolik obsługiwał „John Glenn”. Wymknąłem się z Cindi Shapiro do kaplicy, gdzie kochaliśmy się przez godzinę. To był mój pierwszy raz. Nie wiedziałem, co robić. Cindi wiedziała. Pamiętam, że to było cudowne – szczególnie sposób, w jaki pieściła i nieoczekiwanie podniecała mnie językiem. Zapamiętałem również i to, że po mniej więcej dwudziestu minutach początkowy zachwyt przeszedł w lekkie znudzenie, połączone z pytaniem „co dalej?” i naiwnym „i to wszystko?”.

Gdy ukradkiem wróciliśmy z Cindi na Przylądek Kennedy’ego i do stolika Apollo 14, trochę rozczochrani i odurzeni pieszczotami (zespół Herbiego Zane’a grał gościom serenadę *Fly Me To the Moon*), mój brat Ken odciągnął mnie na bok

i zażądał szczegółów. Oczywiście, z najwyższą przyjemnością mu odmówiłem. Nagrodził mnie tym swoim uśmiechem i przybił mi piątkę. Tej nocy, kiedy leżeliśmy w piętrowym łóżku, Ken na górze, ja na dole, a wieża stereo grała ulubiony kawałek Kena *Don't Fear the Reaper* Blue Oyster Cult, mój starszy brat wyjaśnił mi kilka faktów z punktu widzenia dziewięcioklasisty. Później dowiedziałem się, że prawie wszystko pokręcił (zbyt dużą wagę przywiązywał do piersi), ale ilekroć to sobie przypomnę, zawsze się uśmiecham.

„On żyje...”.

Potrząsnąłem głową i przy starym domu Holderów skreśliłem w prawo, w Coddington Terrace. Tą samą drogą chodziliśmy z Kenem do szkoły podstawowej przy Burnet Hill. Między dwoma stojącymi tam domami biegła brukowana ścieżka, którą było bliżej. Zastanawiałem się, czy jeszcze tam jest. Matka (wszyscy, nawet dzieci, nazywali ją Sunny) zwykła ukradkiem odprowadzać nas do szkoły. Ken i ja robiliśmy miny, kiedy chowała się za drzewami. Uśmiechałem się, wspominając tę jej nadopiekuńczość. Wprawiała mnie w zakłopotanie, ale Ken tylko wzruszał ramionami. Brat był dostatecznie wyluzowany, żeby tym się nie przejmować. Ja nie.

Znów zrobiło mi się żal i poszedłem dalej.

Może tylko mi się wydawało, ale ludzie zaczęli mi się przypatrywać. Brzęk rowerów, uderzenia piłek o boisko, pomruk spryskiwaczy i kosiarek, okrzyki piłkarzy – wszystko wydawało się cichnąć, gdy przechodziłem. Niektórzy gapili się z ciekawości; obcy mężczyzna w ciemnoszarym garniturze, przechadzający się w letnie popołudnie, wyglądał dziwnie. Jednak większość, a może i to mi się zdawało, spoglądała ze zgrozą, ponieważ rozpoznali mnie i nie mogli uwierzyć, że odważyłem się wkroczyć na tę świętą ziemię.

Bez wahania podszedłem do domu przy Coddington Terrace 47. Poluzowałem krawat. Wepchnąłem ręce do kieszeni. Gmerałem czubkiem buta w miejscu, gdzie krawężnik styka

się z trotuarem. Po co tu przyszedłem? Zauważyłem, że w jednym z okien poruszyła się zasłona. Za szybą pojawiła się wychudła, widmowa twarz pani Miller. Zmierzyła mnie gniewnym wzrokiem. Nie odszedłem ani nie odwróciłem wzroku. Patrzyła tak jeszcze przez chwilę, a potem, ku memu zdziwieniu, wyraźnie złagodniała. Czyżby cierpienia nas zbliżyły? Skinęła mi głową. Odpowiedziałem skinieniem i poczułem, że do oczu napływają mi łzy.

■ ■ ■

Może widzieliście to w 20-20 lub *Primetime Live* albo innym telewizyjnym odpowiedniku gazetowego szmatławca. Jeśli nie, oto oficjalna wersja wydarzeń: 17 października, jedenaście lat temu, w miasteczku Livingston w stanie New Jersey, mój brat Ken Klein, wówczas dwudziestoczteroletni, brutalnie zgwałcił i zamordował naszą sąsiadkę, Julie Miller.

W jej piwnicy. Przy Coddington Terrace 47.

To tam znaleziono jej ciało. Dowody nie wskazywały jednoznacznie, czy została zamordowana w tym kiepsko wykończonym przyziemiu, czy też dopiero po śmierci wepchnięta za poplamioną kanapę w paski. Przychylano się do tej drugiej możliwości. Mój brat nie został schwytany i uciekł w niewiadomym kierunku – również według oficjalnie przyjętej wersji wydarzeń.

Przez ostatnie jedenaście lat Ken wymykał się sprawiedliwości. Jednakże czasem się pojawiał.

Po raz pierwszy widziano go rok po morderstwie, w małej rybackiej wiosce w północnej Szwecji. Interpol wkroczył do akcji, lecz mój brat jakimś cudem zdołał im umknąć. Podobno ktoś go ostrzegł. Nie mogę sobie wyobrazić kto i dlaczego.

Następne takie zdarzenie miało miejsce cztery lata później, w Barcelonie. Ken wynajął tam, cytując artykuł z gazety, „hacjendę z widokiem na morze” (choć Barcelona wcale nie leży nad morzem), w której mieszkał – znów zacytuję – „z gibką czarnowłosą kobietą, zapewne tancerką flamenco”.

Ni mniej, ni więcej tylko jeden z mieszkańców Livingston widział Kena i jego kastylijską kochankę, jak jedli obiad na plaży. Podobno brat był opalony, zdrowy i nosił rozpiętą pod szyją białą koszulę oraz półbuty bez skarpetek. Ten livingstonianin, niejaki Rick Horowitz, chodził ze mną do czwartej klasy, prowadzonej przez pana Hunta. Przez trzy miesiące Rick zabawiał nas, zjadając na przerwach dżdżownice.

Barceloński Ken znów wymknął się policji.

Podobno po raz ostatni widziano brata we francuskich Alpach, na szlaku narciarskim o najwyższym stopniu trudności. Interesujące, gdyż przed morderstwem Ken nigdy nie jeździł na nartach. I tym razem skończyło się na reportażu w *48 Hours*. Z biegiem lat historia mojego zbiegłego brata stała się kryminalnym odpowiednikiem programu *Ktokolwiek widział...*, powracając, ilekroć zaczynały krążyć plotki albo gdy którejś z sieci telewizyjnych brakowało materiału.

Oczywiście nienawidziłem tych telewizyjnych „wizji lokalnych” na „niespokojnych przedmieściach” czy innych programów tego typu, opatrzonych równie głupimi tytułami. W tych „raportach specjalnych” (chciałbym, żeby chociaż raz nazwali taki „normalnym reportażem, jakich wiele”) pokazywano Kena, który przez pewien czas odnosił spore sukcesy w tenisie, w białym stroju sportowym i z okropnie nadętą miną. Nie mam pojęcia, skąd wzięli te zdjęcia. Ken prezentował się jak jeden z przystojnych młodzieńców, których ludzie nienawidzą od pierwszego spojrzenia: wyniosły, z włosami obciętymi na Kennedy’ego, opalenizną podkreślaną przez biel stroju i olśniewającym uśmiechem. Ken z fotografii wyglądał jak jeden z tych uprzywilejowanych ludzi (którym nie był), gładko sunących przez życie dzięki urokowi (tego miał trochę) i funduszowi powierniczemu (którego nie posiadał).

Wystąpiłem w jednym z tych programów. Producent skontaktował się ze mną – kiedy rzecz była jeszcze bardzo świeża – twierdząc, że chce „uczciwie naświetlić sprawę z obu

stron”. Zauważył, że wielu ludzi chętnie zlinczowałoby mojego brata. „Dla równowagi” potrzebowali kogoś, kto mógłby opisać wszystkim „prawdziwego Kena”.

Dałem się nabrać.

Wytapiowana blondyna o sympatycznym sposobie bycia, która prowadziła programy, wypytywała mnie przez godzinę. Nie miałem nic przeciwko temu. Właściwie nawet podziślało to na mnie kojąco. Podziękowała mi i odprowadziła do drzwi, a kiedy program wszedł na antenę, znalazło się w nim tylko jedno nieczyste zagranie. Usunęli jej kwestię („Z pewnością nie zamierza pan utrzymywać, że pański brat był ideałem, prawda? Nie będzie pan nam wmawiał, że był święty?”), natomiast pozostawili moją odpowiedź. Przy zbliżeniu ukazującym wszystkie pory w skórze na moim nosie i dramatycznym podkładzie muzycznym, wygłosiłem: „Ken nie był święty, Diano”.

Oficjalnie tak podsumowano całą sprawę.

Nigdy w to nie uwierzyłem. Nie twierdzę, że to niemożliwe. Jednak wierzę w znacznie bardziej prawdopodobny scenariusz wydarzeń: mój brat nie żyje, i to od jedenastu lat.

Co więcej, moja matka zawsze uważała, że Ken nie żyje. Była tego pewna. Jej syn nie był mordercą. Był ofiarą.

„On żyje... On tego nie zrobił”.

Frontowe drzwi domu Millerów się otworzyły. W progu stanął pan Miller. Poprawił sobie okulary na nosie. Potem wziął się pod boki, nieudolnie naśladując Supermana.

– Wynos się stąd w cholere, Will – powiedział.

Tak też zrobiłem.

■ ■ ■

Następny szok przeżyłem godzinę później.

Byliśmy z Sheilą w sypialni moich rodziców. Od kiedy pamiętam, stały w niej te same meble: solidne, z wyblakłymi szarymi obiciami z niebieskim brzegiem. Usiedliśmy na nadwątłym wiekiem sprężynowym materacu podwójnego łóż-

ka. Na kapie leżały porozrzucane osobiste rzeczy matki – te, które trzymała w wypchanych szufladach nocnej szafki. Ojciec wciąż był na dole i stał pod oknem, wyzywająco spoglądając na ulicę.

Nie wiem, dlaczego chciałem przejrzeć rzeczy, które matka uważała za dostatecznie cenne, żeby je zachować i trzymać blisko siebie. Wiedziałem, że sprawi mi to ból. Istnieje interesująca zależność między celowo wywołanym cierpieniem a ulgą, coś jak odpowiednik gaszenia pożaru ogniem. Pewnie właśnie o to mi chodziło.

Spojrzałem na śliczną, skupioną twarz Sheili – głowę lekko przechyliła w lewo i spuściła oczy – i zrobiło mi się trochę lżej na sercu. Może zabrzmi to dziwnie, ale mogłem wpatrywać się w nią godzinami. Nie tylko z powodu jej urody, bynajmniej nie klasycznej, nieco zniekształconej przez kaprys genetyczny lub – co bardziej prawdopodobne – jakieś wydarzenie z jej tajemniczej przeszłości, ale dlatego, że była to żywa, dociekliwa twarz, a jednocześnie tak delikatna, że jeszcze jeden cios mógłby zniszczyć ją nieodwołalnie. Sheila budziła we mnie – wybaczenie ten banał – opiekuńcze uczucia.

Nie patrząc na mnie, uśmiechnęła się leciutko i powiedziała:

– Przestań.

– Nic nie robię.

W końcu zwróciła na mnie wzrok i zobaczyła wyraz mojej twarzy.

– Jak to nie?

Wzruszyłem ramionami.

– Jesteś całym moim światem – odparłem.

– Ty moim też.

– Taak – przyznałem. – Taak, to prawda.

Udała, że daje mi prztyczka w nos.

– Kocham cię, wiesz.

– A masz inne wyjście?

Spojrzała na rzeczy mojej matki i z jej czoła zniknęła zmarszczka.

- O czym myślisz? – zapytałem.
- O twojej matce. – Sheila uśmiechnęła się. – Naprawdę ją lubiłam.
- Żałuję, że nie znałaś jej przedtem.
- Ja też.

Zaczęliśmy przeglądać laminowane, pożółkłe wycinki. Zawiadomienia o narodzinach Melissy, Kena i moich. Artykuły o tenisowych sukcesach Kena. Jego trofea, wszyscy ci ludzie z brązu zastygli w połowie serwu, wciąż zagracali jego dawną sypialnię. Fotografie, przeważnie stare, z czasów przed morderstwem. Sunny. Tak od dziecka nazywano moją matkę. To do niej pasowało. Znalazłem jej zdjęcie jako przewodniczącej klasy. Nie wiem z jakiej okazji, ale stała na podium, miała na głowie zabawny kapelusik, a wszystkie matki się uśmiechały. Na innym prowadziła szkolną zabawę, ubrana w kostium klauna. Sunny była lubiana przez moich kolegów. Nie mieli nic przeciwko temu, żeby podwoziła ich do szkoły. Chętnie przychodzili do nas na prywatki. Sunny była stanowcza, ale nie natrętna, nieco wyluzowana, a czasem trochę zwariowana, tak że nigdy nie było wiadomo, co za chwilę zrobi. Matce zawsze towarzyszyła atmosfera radosnego podniecenia, albo – jeśli wolicie – oczekiwania.

Siedzieliśmy już od dwóch godzin. Sheila nie spieszyła się, z namysłem oglądając każde zdjęcie. Jedno z nich przykuło jej uwagę. Zmrużyła oczy.

- Kto to?

Podawała mi fotografię. Po lewej stała moja matka, w nieco obscenicznym żółtym kostiumie bikini, na oko z 1972 roku, eksponującym okrągłości. Ostrożnie obejmowała ramieniem niskiego mężczyznę z czarnymi włosami i szerokim uśmiechem.

- Król Husajn – odparłem.
- Słucham?
- Skinałem głową.
- Ten z Królestwa Jordanii?

– Taa. Mama i tata spotkali go w hotelu Fontainebleau w Miami.

– I co?

– Mama zapytała go, czy mogłaby zrobić sobie z nim zdjęcie.

– Żartujesz.

– Oto dowód.

– Nie było przy nim ochroniarzy ani nikogo?

– Pewnie nie wyglądała na uzbrojoną.

Sheila roześmiała się. Pamiętam, jak mama opowiadała mi o tym wydarzeniu. Pozowała z królem Husajnem, tymczasem ojcu zaciął się aparat i kłął pod nosem. Ona poganiała go gniewnym spojrzeniem, a król czekał cierpliwie, aż w końcu szef jego ochrony sprawdził aparat, uruchomił go i oddał ojcu.

Moja mama Sunny.

– Była taka ładna – zauważyła Sheila.

Powiedzieć, że jakaś część jej umarła, kiedy znaleziono ciało Julie Miller, to banał, lecz tak to już bywa z banalami, że często trafiają w sedno. Mama przycichła, przygasała. Kiedy dowiedziała się o morderstwie, nie załamywała rąk i nie panikowała. Często żałowałem, że tak nie zareagowała. Moja nieobliczalna matka – Sunny – stała się zatrwajająco zrównoważona. Wydawała się przyjmować to wszystko spokojnie, a nawet beznamiętnie, co u osoby o takim charakterze było gorsze od ataku histerii.

Ktoś zadzwonił do frontowych drzwi. Wyrzałem przez okno sypialni i zobaczyłem furgonetkę dostawczą z delikatesów Eppes-Essen, popularnie zwanych „Niechlujami”. Wyżerka dla... hm... żałobników. Ojciec optymistycznie zamówił za dużo. Do końca nie wyzbył się złudzeń. Został w tym domu jak kapitan na mostku Titanica. Pamiętam, jak groźnie potrzasał pięścią, kiedy po raz pierwszy, niedługo po morderstwie, powybijano nam okna strzałami z wiatrówki. Mama chciała się wynieść, natomiast ojciec ani myślał. Jego zdaniem przeprowadzka oznaczałaby kapitulację. Wyprowadzając się, zdradziłby syna, przyznał, że był winien.

Głupota.

Sheila wpatrywała się we mnie. Ogarnęła mnie fala ciepła, jakbym wygrzewał się w słońcu. Poznaliśmy się w pracy, przed rokiem. Jestem naczelnym dyrektorem Covenant House przy Czterdziestej Pierwszej w centrum Nowego Jorku. Ta charytatywna organizacja pomaga przeżyć dzieciom ulicy. Sheila zgłosiła się do nas jako ochotniczka. Pochodzi z małego miasteczka w Idaho, chociaż niewiele miała w sobie z małomiasteczkowej dziewczyny. Przyznała się, że przed wieloma laty ona również uciekła z domu. Tylko tyle wiedziałem o jej przeszłości.

– Kocham cię – powiedziałem.

– A masz inne wyjście? – odparła.

Sheila do samego końca była dobra dla mojej matki. Przyjechała miejskim autobusem z Port Authority na Northfield Avenue, skąd podeszła do St. Barnabus Medical Center. Zanim zachorowała, matka tylko raz leżała w tym szpitalu – kiedy mnie urodziła. Takie symboliczne zamknięcie kręgu życia miało jakiś doniosły sens, ale jakoś nie potrafiłem go dostrzec.

Jednak widziałem Sheilę przy łóżku mojej matki i zacząłem się zastanawiać. Zaryzykowałem.

– Powinnaś zadzwonić do rodziców – powiedziałem łagodnie.

Popatrzyła na mnie tak, jakbym właśnie ją spoliczkował. Wstała z łóżka.

– Sheila?

– To nie jest odpowiednia chwila, Will.

Podniosłem oprawione w ramkę zdjęcie moich opalonych, wypoczywających rodziców.

– Równie dobra jak każda.

– Nic nie wiesz o moich rodzicach.

– A chciałbym.

Stanęła do mnie plecami.

– Zajmowałeś się dziećmi, które uciekły z domu – powiedziała.

– Tak?

– Wiesz, jak to bywa.

Znów pomyślałem o jej lekko nieregularnych rysach, na przykład o nosie z wiele mówiącym garbkiem.

– Wiem również, że jest jeszcze gorzej, jeżeli się o tym nie rozmawia.

– Ja rozmawiałam o tym, Will.

– Nie ze mną.

– Nie jesteś moim psychoterapeutą.

– Jestem człowiekiem, którego kochasz.

– Tak. – Odwróciła się do mnie. – Ale nie teraz, dobrze? Proszę.

Może miała rację. Bezwiednie bawiłem się fotografią oprawioną w ramkę. I nagle coś się stało.

Zdjęcie trochę przesunęło się w ramce.

Okazało się, że zasłaniało drugie. Jeszcze bardziej przesunąłem górną fotografię. Na tej pod spodem pokazała się dłoń. Próbowałem odsunąć fotkę dalej, ale się nie dało. Namacałem blaszki z tyłu ramki. Przekręciłem je i pozwoliłem, aby tylna ścianka upadła na łóżko. Razem z nią wypadły dwie fotografie.

Jedna – ta górna – ukazywała moich rodziców na pokładzie statku, tak zdrowych, szczęśliwych i beztroskich, jakich chyba nigdy nie widziałem. Lecz to druga, ta ukryta pod nią, przykuła mój wzrok.

Czerwone cyfry w dolnym rogu zdjęcia podawały datę sprzed niecałych dwóch lat. Zrobiono je na jakimś polu lub pagórku. W tle nie było widać domów, tylko ośnieżone szczyty, jak w pierwszych scenach filmu *Dźwięki muzyki*. Mężczyzna na zdjęciu miał na sobie krótkie spodenki, plecak, okulary przeciwsłoneczne i sfatygowane turystyczne buty. Jego uśmiech był znajomy. Równie znajoma była twarz, chociaż przybyło na niej kilka zmarszczek. Miał dłuższe włosy. W brodzie zauważyłem pierwsze nitki siwizny. Mimo to nie miałem ani cienia wątpliwości.

Mężczyzną na tym zdjęciu był mój brat Ken.